



Galicyski mundur, złotem haftowany...

2017-03-01

Chyba żadna z używanych w języku polskim nazw geograficznych nie obrosta taką liczbą błędnych wyobrażeń i mylnych - czy raczej mylących - opinii, jak termin „Galicja”. Nazwa, także i dziś używana, odznacza się zdumiewającą żywotnością.

Michał Koziół

Jako twór toponomastycznych zapędów wiedeńskich biurokratów powinna odejść do historii w 1918 r. wraz z habsburską monarchią. Tymczasem egzystuje współcześnie i ma się całkiem dobrze. Ciągłe też funkcjonuje mit Galicji jako swoistej krainy szczęśliwości, radośnie rozkwitającej pod opiekuńczym berłem dynastii habsbursko-lotaryńskiej. Rzecz ciekawa, że wśród zwolenników teorii o istnieniu galicyjskiej arkadii spotyka się zarówno polskich, jaki i ukraińskich oraz żydowskich uczonych i publicystów.

Rzecz naprawdę zdumiewającą i dowodem galicyjskiej ekspansywności jest powszechne dziś włączanie Krakowa do Galicji. Błąd ten popełniają nawet ludzie uważający się za wielkich miłośników „podwawelskiego grodu” (notabene nazwa ta też jest swoistym kuriozum zważywszy, że Wawel był grodem, ergo miasto leżące u jego podnóża może być tylko „wawelskim podgrodzem”). Tymczasem w przeszłości mieszkańcy Krakowa zawsze podkreślali, że Galicja zaczyna się dopiero za Wisłą, na prawym, południowym brzegu rzeki. Do 1918 r. używanym przez krakowian argumentem „antygalicyskim” był fakt istnienia w ramach monarchii habsburskiej osobnego kraju koronnego, nazywanego Wielkim Księstwem Krakowskim. Niechęć do Galicjan bywała w Krakowie obecna jeszcze po II wojnie światowej. Odczuwali ją osiedlający się tutaj ekspatrianci, ludzie wysiedleni ze Lwowa i innych galicyjskich miast. Zdarzało się nawet, że za bardzo przesiąknięte krakauerskim duchem nauczycielki po cichu narzekały, że uczennice - w tamtych czasach obowiązywał jeszcze podział na szkoły męskie i żeńskie - z Galicji obniżają poziom klasy.

Nie od dziś wiadomo, że najlepszym sposobem walki z fałszywymi stereotypami jest edukacja. Dlatego też powinno cieszyć każde działanie, każde wydarzenie, które przybliży współczesnym prawdziwy obraz dawnego zaboru austriackiego. Jednym z takich wydarzeń, niewątpliwie bardzo ciekawym i godnym uwagi, jest otwarta ostatnio na Wawelu czasowa ekspozycja zatytułowana „Mundury Stanów Galicyjskich. Wystawa w dwóchsetlecie ustanowienia”.

O Stanach Galicyjskich

Tytuł taki może się wydawać zagadkowy. Można podejrzewać, że nawet wielu współczesnych historyków nie pamięta o istnieniu owego dziwnego tworu pseudoparlamentarnego, jakim były funkcjonujące w pierwszej połowie XIX w., w latach 1817-1845, Stany Galicyjskie. Powołując je do życia, cesarz Franciszek I, nazywany przez wiedeńczyków „Der Gute Kaiser”, upiekł na jednym ogniu dwie pieczenie. Wyposażył Królestwo Galicji i Lodomerii w instytucję funkcjonującą w innych należących do Habsburgów krajach oraz spełnił zalecenia Kongresu Wiedeńskiego, który w sposób taktowny zalecał zaborcom uszanowanie praw pozbawionych swojego państwa Polaków. Prawo do zasiadania w Stanach mieli - zgodnie z cesarskim patentem - przedstawiciele czterech galicyjskich stanów, czyli „stan duchowieństwa, stan



magnatów, stan rycerski i miasta królewskie”. Reprezentacja miast była symboliczna, bo ograniczała się do dwóch deputowanych ze stołecznego Lwowa, ale obiecano, że w przyszłości zasiądzie w Stanach więcej przedstawicieli mieszczaństwa. Oczywiście nie było mowy o tym, aby dopuścić do parlamentu przedstawicieli stanu chłopskiego. Aby chłopci jako siła polityczna – i to w dość specyficzny sposób – pojawili się na galicyjskiej scenie politycznej, trzeba było czekać do roku 1846, czyli do rabacji.

Do „stanu duchowieństwa” raczył cesarz zaliczyć: „galicyjskich arcybiskupów, biskupów, opatów, tych infułatów, którym na ich prośbę przywileje stanowe przyznamy, i terażniejsze kapituły katedralne”. Stan magnatów obejmował książąt, hrabiów oraz baronów. Natomiast do stanu rycerskiego należeli: „szlachta krajowa, która swoje szlacheckie pochodzenie wykazała według przepisu wydanego w patencie z 20 stycznia 1782 r. i w terminie wówczas wyznaczonym immatrykulację uzyskała, dalej ci, którym przez nas lub przez przodków naszych stan rycerski został nadany, wreszcie ci, którzy należą do rycerskiego stanu całego cesarstwa Naszego, skoro tylko uzyskają indygenat w tych królestwach i immatrykulację w generalnej metryce stanowej”. Sam herb jednak nie wystarczał, należało jeszcze płacić podatek w odpowiedniej wysokości. Jednak graniczna kwota, wynosząca 75 złotych reńskich, mogła wyeliminować tylko drobną szlachtę cząstkową lub zgoła zagrodową, dość jeszcze wówczas liczną w Galicji. Wyodrębnienie magnatów ze stanu szlacheckiego było chytrym zabiegiem. Godziło w świętą zasadę z czasów Rzeczypospolitej, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Frak granatowy ze szkarłatnym kołnierzem...

Jak widać, udział w obradach Stanów mogli brać udział wszyscy Galicjanie legitymujący się szlachectwem i jakim takim majątkiem. Wydawałoby się, że do Lwowa powinien zjechać ogromny tłum szlachty. Tymczasem okazało się, że herbowi mieszkańcy Galicji i Lodomerii wcale nie byli zainteresowani udziałem w instytucji czysto fasadowej, pozbawionej jakichkolwiek realnych uprawnień. Rzadko zdarzało się, aby szlachciców zjawiało się więcej niż czterdziestu. Magnatów bywało kilku lub kilkunastu. Prawdopodobnie w obradach Stanów nie uczestniczyło nigdy więcej niż siedemdziesięciu deputatów, którzy spokojnie mieścili się w starej czytelni biblioteki uniwersyteckiej. Być może jednym – kto wie, czy nie najważniejszym powodem małego zainteresowania udziałem w obradach stanów – była konieczność sprawienia sobie odpowiedniego munduru?

Warto zacytować przynajmniej fragmenty „opisania” owego uniformu, jakie ukazało się na łamach „Gazety Lwowskiej” w maju 1817 r.: „Frak granatowy z szkarłatnym kołnierzem i wyłogami; który na kształt mundurów oficerskich, to jest, z jednym rzędem guzików; spodem koło kieszeni wywinięto... Kamizelka biała... Spodnie białe, lub granatowe do botów... Epolety (naramienniki) według upodobania złote, a na nich herb galicyjski wypukło haftowany... Guziki żółte z herbem galicyjskim. Dopóki takich guzików nie będzie można dostać, wolno także i gładkich guzików używać... Kapeluszy trzyganiasty ze złotą szlifą i żółtym guzikiem”. Wiedeńscy projektanci parlamentarnej mody uczynili pewien ukłon w stronę miejscowej tradycji. W stosownym dokumencie znalazły się bowiem takie oto słowa: „Do tego munduru można także i stroju narodowego używać. W takowym przypadku jest kontusz granatowy z kołnierzem i wyłogami szkarłatnymi; żupan biały, czapka czerwona z opuszką białą; szabla z rękojeścią srebrną lub srebrno-blatowaną, rapcie muszą być srebrne a pas srebrno-lity”. W kilka miesięcy



po pierwszej sesji Stanów ogłoszono postanowienie cesarskie wprowadzające mundur galowy deputowanego. Miał on „być szkarłatnego koloru z niebieskimi wyłogami, złotem haftowanymi”. Stosowne regulacje wykonawcze informowały zainteresowanych, że „dworski haftarz Wiednia Jędrzej Alkens” gotów jest „dostarczać przepisanych przyborów mundurowo-dekoracyjnych”.

Wystawa na Wawelu

Wydarzenia 1846 r. przypieczętowały los Stanów Galicyjskich. Wkrótce zapomniano o tej fasadowej instytucji. W zapomnienie poszły też noszone wówczas mundury. „Nie ma zapewne nigdzie ani wiernego portretu jednego z „panów Stanów w takim mundurze, ani modelu mundurowego w jakim muzeum” pisał przed przeszło stu laty Bronisław Łoziński w książce „Galicyjski Sejm Stanowy 1817–1845”. Autor ów – choć rzeczywiście był znawcą dziejów zaboru austriackiego, członkiem korespondentem krakowskiej Akademii Umiejętności – w tym przypadku rozmijał się z prawdą. Po Galicyjskim Sejmie Stanowym pozostały bowiem liczne pamiątki. Potwierdza to wspomniana już, otwarta ostatnio na Wawelu wystawa. Można na niej podziwiać portrety galicyjskich wielmożów pochodzące z różnych zbiorów muzealnych, m.in. z Lwowskiej Galerii Sztuki imienia Borysa Woźnickiego kierowanej przez Tarasa Wozniaka, postać niezwykle zasłużoną na polu współpracy polsko-ukraińskiej.

Prezentowane na wystawie portrety malowano na zamówienie, a później zawieszano w pałacu lub dworze portretowanego, aby był przedmiotem podziwu rodziny, przyjaciół i gości. Dlatego też malarze musieli pamiętać o tym, aby na zadekretowanym przez austriackiego monarchę mundurze znalazło się polskie Virtuti Militari, na które członek Galicyjskich Stanów zasłużył pod Zieleńcami, Raszynem lub Ostrołęką.